

Najistotniejszą wspólnotą Polski i Ukrainy jest wspólnota losu społecznego, bo to ona pozwala przewyciężyć dawne konflikty i niezablźnione rany. Wiele się w Polsce pisze i mówi o postchłopskim charakterze obecnego polskiego społeczeństwa czy też o folwarcznym pochodzeniu nawet dzisiejszego modelu przedsiębiorstwa w naszym kraju. Nie są to opinie bezpodstawne i należałoby przemyśleć ich konsekwencje. Być może najważniejsza z nich jest ta, że współczesne państwa: ukraińskie i polskie, a także ich społeczeństwa, są państwami i społeczeństwami ludzi, którzy w dawnej Rzeczypospolitej stanowili poddanych drugiej kategorii. Postawmy sprawę jasno: Rzeczpospolita Obojga Narodów nie była państwem ani Polaków, ani Ukraińców w dzisiejszym rozumieniu. To państwo należało do szlachty, której potomkami jest niewielu z nas. Własność ta miała kilka wymiarów. W przeciwieństwie do późnośredniowiecznego państwa Jagiellonów, po zmarginalizowaniu przedstawicieli miast, naród polityczny tworzyła już wyłącznie szlachta. Ona jedynie – teoretycznie równa wobec prawa bez względu na pochodzenie etniczne czy wyznanie – posiadała politycznych reprezentantów i miała prawo decydowania o losie państwa. Ją też jako jedyną grupę obejmowały podstawowe formy ochrony prawnej, począwszy od *neminem captivabimus*. Poza tym szlachta, a właściwie jej najwyższa część, czyli magnateria, a więc arystokracja rodowa – bez względu na to, czy przysługiwały jej tytuły, czy też nie – była właścicielem państwa nie tylko w prawnym, ale i w realnym wymiarze władzy. Wystarczy ponownie przeczytać dzieło Jędrzeja Kitowicza<sup>9</sup>, by bez trudu zorientować się, jak fikcyjny charakter miała równość szlachecka i jak wąska oligarchia sprawowała w rzeczywistości władzę w imieniu demokracji szlacheckiej. Rzeczpospolita oznaczała więc rzecz wspólną wąskiej grupy Panów Hetmanów i Panów Ordynatów. Po trzecie, szlachta, znów ze szczególnym uwzględnieniem magnaterii, była władcą ekonomicznym; była jedynym obok Kościoła posiadaczem ziemi i jedynym w Rzeczypospolitej beneficjentem słynnego handlu zbożowego. Analizy przeprowadzane poza Polską wskazują jednoznacznie, że dla całości gospodarki Rzeczypospolitej handel ten miał skutki katastrofalne, a powiązane z nim korzyści finansowe czerpali, poza kupcami gdańskimi i przede wszystkim holenderskimi, wyłącznie właściciele ziemi<sup>10</sup>. Z punktu widzenia chłopów handel ten nie opierał się na eksporcie nadwyżek zbożowych, lecz sprzedaży

---

<sup>9</sup> Zob. J. K i t o w i c z, *Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III*, Ossolineum, Wrocław 1951.

<sup>10</sup> Por. B r a u d e l, dz. cyt., t. 3, s. 222-228.

ziarna kosztem wyżywienia ludności miejscowej. Rzeczpospolita była więc w podobnej sytuacji wobec Gdańska i Amsterdamu jak Irlandia po Cromwellu wobec Anglii, z tą jednak zasadniczą różnicą, że kontroli na miejscu nie dokonywali obcy urzędnicy, lecz grupa ludności miejscowej o szczególnym statusie, dopuszczona do udziału w zyskach z obrotu handlowego. Był to więc rodzaj kolonizacji wewnętrznej. Z tego punktu widzenia kwestia, czy chłop mówi po polsku, czy po rusku (choć oczywiście jego język polski był inny niż polski szlachcica, bo chłop ma mowę plugawą i szepleniącą), czy modli się w kościele, czy w cerkwi – nie ma szczególnego znaczenia. Wreszcie, szlachta była władcą społecznym, pośredniczącym między chłopem a państwem i efektywnie chłopą od państwa odcinającym. To szlachcicowi przysługiwało prawo decydowania o życiu i śmierci chłopów, prawo zbierania podatków i wiele innych praw. Większość historyków winą za to tak zwane wtórne poddaństwo obarcza handel zbożowy, a więc porządek ekonomiczny i społeczny zażębiają się. W obu tych porządkach rozróżnienia etniczne nie grają roli. Pamiętajmy zresztą, że nawet szlachta polskojęzyczna nie zawsze chciała być Polakami, był bowiem długi okres, gdy wolała się uważać za Sarmatów, najeźdźców irańskiego pochodzenia, którzy prawem miecza podporządkowali sobie miejscową, słowiańską ludność, czyli chłopów, i wciąż korzystają z dobrodziejstw podboju – a może nawet uważała się wprost za przedłużenie starych rodów rzymskich (jak Pacowie za krewnych Pazzich).

Większość współczesnych Polaków i Ukraińców dzieliłaby w dawnej Rzeczypospolitej wspólny los poddanych, jeśli nie wręcz niewolników. I tak jak porządek ustrojowy dyskryminował Ukrainę, tak porządek społeczny przez jakiś czas ją faworyzował. Ta po części ziemia niczyja, nękana najazdami tatarskimi, stanowiła czas jakiś oazę wolności i swoisty wentyl bezpieczeństwa dawnej Rzeczypospolitej: ucieczka na Dzikie Pola była miejscowym zastępnikiem wojen i buntów chłopskich (przez które regularnie przechodziła zachodnia Europa), a przy okazji stanowiła odroczenie wojny społecznej aż do czasów powstania Chmielnickiego. U początków etnogenezy narodu ukraińskiego nie stoi przecież wyłącznie żywioł ruski, bo Ruś Czerwona i Dzikie Pola zbierały ludność z całego kraju, oferując jej ucieczkę od społecznego jarzma. W tych warunkach na Ukrainie wyrastało nowe społeczeństwo o własnej organizacji, własnej kulturze i własnych instytucjach, takich jak Sicz Zaporoska. Społeczeństwo to z czasem miało się stać narodem ukraińskim. Rzeczpospolita nie zdołała pojąć tego procesu i nie doceniła jego potęgi, a może nawet nie próbowała się z nim zmierzyć. Prędzej czy później czekała ją jednak konfrontacja z alternatywnym łańcem na Ukrainie. Ukraina miała bowiem do zaoferowania żyzne ziemie i siłę roboczą, które chętnie wykorzystywałyby szlachecka gospodarka. Trzeba było tylko zamienić wolną ludność Ukrainy w poddanych chłopów, zgodnie z modelem innych części Rzeczypospolitej, których ludność

tak nawykła do jarzma, że już nawet nie próbowała się buntować. Trzeba było opanować step, zaprowadzić na nim regularną własność i go „ucywilizować”, to znaczy zapewnić mu struktury pozwalające na prowadzenie efektywnej gospodarki folwarcznej. Ci, którzy próbowali tego dokonać, świadomie czy nie, dążyli do wojny, Ukraina bowiem – inaczej niż chłopi w Polsce – miała swoje wojsko, i to nie było jakie. Nieustanne zmniejszanie kontyngentów wojska zaporoskiego było zresztą stałą troską Rzeczypospolitej. Nie wiem oczywiście, jakie plany snuł Władysław IV, pytając Kozaków, czy nie mają samopałów i szabel przy bokach. Jeśli jakieś miał – nic z nich nie wynikło. Powstanie Chmielnickiego jest z tej perspektywy wojną społeczną podejmowaną przez ludzi, którzy zdołali się wyzwolić spod na wpół niewolniczego porządku, by na jego obrzeżach stać się narodem. Przyznaję, że zrozumienie faktu, że powstaniu na Ukrainie nie towarzyszyło powstanie chłopów w Polsce, może zbyt dokładnie już pod tym względem kontrolowanej, sprawia mi szczególną trudność. Rzeczpospolita wojnę tę przegrała, a jednak Ukraina nie uzyskała wolności. Znów kłania się geopolityka. Nieobecność Rzeczypospolitej oznaczała jedynie uwolnienie przestrzeni dla Turcji, reprezentowanej przez swych agentów Tatarów, i dla Moskwy. Znamy dalszy ciąg tej historii, wiemy też, że Chmielnicki, chcąc zerwać z Rzeczpospolitą, musiał pokłonić się Tatarom.

Wszystko to są sprawy aż nazbyt dobrze znane, należy jednak powracać do nich wciąż na nowo. Wyciągnijmy tu jeden wniosek. Dawne spory Ukrainy z Rzeczpospolitą, bez względu na to, jaki użytek ideologiczny czyniłaby z nich którakolwiek ze stron, nie były konfliktami między Polakami a Ukraińcami, lecz stanowiły próbę rewizji ładu społecznego, gospodarczego i politycznego Rzeczypospolitej, której to próbie Rzeczpospolita nie sprostała. Przodkowie znakomitej większości dzisiejszych Polaków i Ukraińców byli w tej wojnie po tej samej stronie, po stronie zbuntowanych lub pokornych poddanych, a walczyć przeciw sobie mogliby tylko wówczas, gdyby na nie-szczęście wcielono ich do piechoty.